Rozmaitości

DNIA 8. LISTOPADA · N^er^ 45. · 1834 ROKU.

BANKRUT.

Z francuzkiego pana Jacob, znanego pod nazwą: *Bibliophil.*

Wypadki najsmutniéjsze charakteru najstraszniéjszego trafiają się często na łonie rodzin, ile być może najbardziéj miéjskich, i tajemnice te ogniska domowego nie wychodzą na jaw i nie mieszają się nigdy z gwarem stu-gębnego świata, chciwie powtarzającego zgorszenie; czasem drama najposępniéjsze i najmniéj do prawdy podobne odgrywa się przy drzwiach zamkniętych, w stadłach tyle spokojnych i na pozór szczęśliwych, ile rzeczywiście pełne są nieładu i nieszczęścia. Pod jasną i równą powierzchnią nieruchomego jeziora są bezdenne głębie i ruszające się piaski; uśmiéchające się płaszczyzny Sycylii kryją w łonie swojém wulkany!

Żyłem w bardzo ścisłéj przyjazni z panem D*, którego samobójstwo zadziwiło Paryż r. 1777 i było przedmiotem sprzecznych komentarzów; jeszcze ściśléj złączony byłem z p. Filipem de Mellevas, jego przyjacielem, który go ledwie dwa miesiące przeżył, i byłem świadkiem owéj niesłychanéj przygody, którą dzisiaj wyjawić mogę; albowiem osoby, którym na milczeniu mojém zależy, od dawna pomarły, i zdaje mi się, żem winien pamiątce tych trzech istot, które kochałem, rozłączonych, pod ciosem losu ugiętych i w tak młodym wieku zgryzotą umęczonych, hołd publiczny lubiącego prawdę dziejopisarza, który wykazuje niesprawiedliwość losu i opłakania godne owoce ustaw towarzyskich.

Pan D*, którego znałem ze szkół, gdzie okazywał już przez swą wyobraźnię, chciwą rzeczy cudnych i obfitą w szczególne projekta, uchodził za jednego z najbogatszych bankierów Francyi, pomimo życie skromne, które raczéj z upodobania, jak ze skąpstwa prowadził. Mieszkał sam z żoną swoją na ustroniu w małym domku, przypierającym do cmentarza *St. André des Arcs*, lubo w Paryżu posiadał kilka hotelów i piękne majętności na wsi; nie pojmowałem obyczajów tak prostych i jednostajnych, sprzecznych z czynnym jego umysłem i świetnym stanem interesów; z tém wszystkiém, powtarzam to, nie był skąpy i hojność swoję czasem posuwał aż do szalonéj rozrzutności, kiedy kto uciekł się do jego kieszeni lub kredytu. Cenił więc pieniądze nie dla użytku, jaki z nich robił, lecz jaki mógł jeszcze zrobić, i dla téj to dziwacznéj przyczyny niezmierny majątek jego stał mu się prawie niezbędnym dla jego szczęścia. Nie mógłby był znieść ubóstwa, nie żeby potrzeby jego pomnożyły się były z pomnożeniem majątku, lecz ponieważ przyszłość wydawała mu się epoką wypocznienia i używania, w któréj żadnéj myśli niewygody i pracy nie mógł przypuścić. Jawnie wyznawał, żeby przeniósł śmierć nad nędzę. Z tém wszystkiém zdawał się miéć prawo przywiązania się do życia na łonie pięknéj żony i przyjaciela od młodości, Filipa de Mellevas, o sześć lat od niego młodszego, adwokata parlamentu, mającego dochody tylko swego stanu, który z talentem i z wielką uczciwością sprawował. Filip, któregom bardzo polubił, skorom poznał szlachetny jego charakter i dobre serce, miał owę naturę melancholiczną i głęboką, która sama siebie dręczy i wycieńcza się ideami. To, co na téj ziemi nazywają szczęściem, co

)(

jest hałaśliwém, odurzającém, upajającém, nie miało dla niego żadnego powabu; nigdy go nie widziano na ucztach, balach, wieczorach, lubo sława jego w parlamencie zjednała mu wstęp do salonów najpiérwszych urzędników. Zwodnicze podstępy, których używano dla wciągnienia go w świat wielki, posłużyły tylko do pomnożenia w nim naturalnéj dzikości; nie wychodził z swojéj ulubionéj samotności, jak tylko dla dopełnienia obowiązków swego stanu, lub dla wypocznienia po dziennéj pracy przed kominkiem u swoich sąsiadów D*, z nimi i ze mną.

Filip był pięknym młodym mężczyzną, smutnéj i w myślach zagłębionéj fizyjonomii, ożywionéj tkliwym wyrazem czarnych jego oczów i słodyczą w uśmiéchu; wdzięczna postawa jego mniéj wypływała z pięknéj z przyrodzenia budowy ciała, jak z tego naturalnego układu, którego się nauczyć nie można, a który się w najmniéjszém ciała poruszeniu rysuje; ubiérał się ze smakiem wybornym, któremuby wytworność i zbytek nie wyrównały. Co do umysłu ceniono go z rzadkich słów, które czasem w towarzystwie rzucał; wolał bowiem być niemym, ale życzliwym słuchaczem; czasem cały wieczór ust nie otworzył, ani oczu nie spuścił z pani D*, która zdawała się nie postrzegać tak trwałego wpatrywania się.

Anna poszła za pana D* w wieku, w którym nie przeczuwała, że w zamęzciu może serce miéć udział; wychodząc z klasztoru z całą swoją pięknością i niewinnością w wieku 17tym, podpisała bez rozmysłu ugodę dożywotnią; lecz wkrótce żałowała, że samym rodzicom zostawiła rozrządzenie swym losem, i poznała, że nieszczęście jéj było do niepoprawienia; kochała bowiem pana D*, jak kocha ojciec swe dzieci. Była do niego przywiązana, jak do swego obrońcy według węzłów społecznych, lecz nie byłoto czucie wzniosłe i upajające, nie była błogość duszy, ów instynkt sympatyi, owo pełne, niezmierne, niewymowne szczęście, słowem, nie byłato miłość;... może miłość i małżeństwo nie są z sobą zgodne!

Pani D* szukała dokoła siebie mężczyzny, któregoby sobie mogła wybrać na dozgonnego przyjaciela, i chciała sama przed sobą taić, że taki męzczyzna istnie. Wychowanie, które w klasztorze odebrała, chroniło ją od niebezpieczeństwa każdego dnia; zamknęła się w granicach swoich powinności, jako matka i małżonka, schroniła się za puklerzem religii, która ją pocieszała, albo przynajmniéj uczyła cierpliwości; nie żaliła się przed niebem. Anna odszczególniała się bardziéj tkliwą, ale żywą pięknością swego oblicza, jak regularnością rysów. Przede wszystkiém potrzeba było zgadywać, ile wzrok jéj może rozlać balsamu tkliwości, ile promieni gorącéj namiętności. Zwykle trzymamy źle o kobiécie, którą widzimy w domu zatrudnioną gospodarstwem i powinnościami macierzyńskiémi. Chociaż Anna miała w sobie jakiś rys romansowy, który wszakże nie popsuł zdrowego i prawego jéj rozsądku, była atoli obok dowcipu poważną. Rzadko jednak wychodziła z naszego grona przyjacielskiego dla udzielenia się światu, który nam jéj zazdrościł. Nie była szczęśliwa!

Jednego wieczora w zimie r. 1777 pan D* powrócił do siebie poźniéj, jak zazwyczaj; czekano nań z kolacyją z Filipem i ze mną. Przechodząc rzekł, że nie będzie wieczerzał, i żeby nikt się do jego nie zbliżał komnaty, gdzie się zamknął. Usiedliśmy do stołu bez niego, spodziéwając się, że przyjdzie na *desser* i uchylenie się jego przypisując jakiemuś nagłemu zatrudnieniu w interesie banku.

Anna bardziéj od nas zdawała się być niespokojną, a gdy jéj powiedziano, że mąż jéj powrócił szczególnie pomieszany i strasznie smutny, pobiegła do drzwi komnaty, pod któremi zdało się jéj, jakoby słyszała łkania; pukała do drzwi i wołała głosem wzruszonym.

»Daj mi pokój, Anno,« odpowiedziano po niejakiém milczeniu; »nie przeszkadzajcie mi aż do jutra... może całą noc będę pracował. Skończyłem dzisiaj kilka interesów, które nie cierpią zwłoki... potrzeba, ażebym sam pozostał.«

Pani D*, zdziwiona uporem, z którym mąż nie chciał jéj otworzyć, zwierzyła się nam swojéj niespokojności; byłoto po raz piérwszy, że pan D* sam się zamknął i chciał sam zostać. Filip i ja ledwośmy ją uspokoili, chociaż oświadczyła, że całą noc spać nie będzie. Pożegnaliśmy ją o godzinie 10téj, przyrzekłszy przyjść nazajutrz bardzo rano,

aby się dowiedzieć o przyczynie dziwacznego zamysłu naszego przyjaciela. Mellevas wziął ostro na oko Annę, całując ją w rękę; ona z przeczucia płakała.

Pan D* odebrał dnia tego list z Frankfortu, w którym mu doniesiono o upadku jednego domu handlowego, gdzie miał połowę swego majątku, i drugi list z Brestu, donoszący o rozbiciu się okrętu, na którym miał za milijon towarów; był więc zniszczony, i ledwo tyle mu się pozostało, aby mógł swoich wierzycieli zaspokoić. Na pierwszy rzut oka przewidział skutki tych niepowetowanych przypadków; zachował sławę swoję, lecz z poświęceniem wszystkiego, co posiadał. Powróciwszy do siebie, zamknięty w swym gabinecie, oparty czołem o rękę, czołem gorącém i pełném wrzących, jak w kotle, projektów, przez cztéry godziny gromadził cyfry do cyfer, które się wszakże nigdy nad szkodę nie podniesły. Garściami ze wściekłością wyrywał sobie włosy, lub wylewał łez strumienie; potém przechadzał się szérokim krokiem z gestami rozpaczającego, stawał niewzruszony, pożérany myślą, która zaczynała nad nim górować; wznosił oczy ku niebu, gdzie ani jednéj nie było widać gwiazdy, jak na widowni szczęścia jego żadna nie świéciła nadzieja, rzucał się na poręczowe krzesło, i wybąkiwał niedokończone wyrazy. Dwa zamysły, jeden jak drugi ostateczne, wrzały w jego mozgownicy: Bankructwo lub samobójstwo.

Chwycił się nareszcie tego ostatniego; napisał list z pożegnaniem do swéj żony, ustanowił mię opiekunem swych dzieci i porwał szpadę, któréj koniec obrócił do piersi; lecz w chwili, kiedy miał ją w nich utopić, odwrócony został od swego zamysłu kupami rozrzuconego na stole złota; pomyślał, że śmierć jego może przywieść na nędzę jego żonę i dzieci; tym bolesnym obrazem zmiękczyła się jego stałość, i, chcąc uniknąć gołéj szpady, pobiegł do okna i otworzył je, chcąc jeszcze zostać przy życiu. Zimno nocy i pory roku ochłodziło gorączkę jego myśli; wolniéj oddychał i przestał na chwilę wzdychać, chcąc się chwycić drugiego zamysłu, który z początku ze wzgardą odrzucił; wszystkoby raczéj był przyjął, jak ubóstwo; byłby się na niesławę wystawił, nie byłby się nawet z pod hańbiącego uchylił wyroku, byleby tylko rodzina jego miała chléb, byle Anna jego nie musiała znosić niedostatek; niezbędną rzeczą było złoto dla istot, które kochał. Nigdy nie doznawał tak żywéj, tak dokuczającéj bojaźni nędzy, która go niegdyś z daleka wśród obfitości bogactw prześladowała; wnet poczciwość swoję pogodził z hańbiącém bankruta imieniem — tyle kochał swe dzieci i swą żonę; nade wszystko swą żonę, która go do życia przywiązywała; żonę, którą w nędzy widzieć, nie mógł na sobie przenieść. Jeżeliby z nią uciekł, zabrał z sobą, ile mógł pieniędzy, udał się daleko za morze, aby tam dokonać skalanego wspomnieniem chytrego bankructwa żywota, to przynajmniéj cieszyłby się na łonie swéj familii, pomimo pogrózek opinii i hańby swego występku. Byłby przynajmniéj jeszcze szczęśliwy. Cmentarz *St. André de Arcs*, który miał przed oczyma, nie sposobił go do rozważań smutnych; przeciwnie, grubarz, który kopał grób przy świetle latarni, zapewne dla kogoś na jutro, i śpiéwał przytém głosem jednostajnym, natchnął go projektem, w samém poczęciu dojrzałym; korzystał z czasu, w którym grubarz wrócił do swego pomieszkania, i przejrzał wszystkie miejsca cmentarza, groby, furty i oparkanienie; dostrzegł, że okno jego tylko o dziesięć stóp wzniesione było nad ziemię; szukał potém oczyma długiego powrozu, którym spuszczają trunny do grobu; wszystko było wprzód przewidziane i postanowione. Skoro grubarz skończył swoję robotę, nie zabrawszy jeszcze naczyń; pan D* wskoczył na cmentarz, koło którego w przyległych domach nie świéciło żadne światło; postawił drabinę przed swojém oknem, potém poszedł wykopać umarłego, wczoraj pogrzebionego, i zakopawszy nazad próżną trunnę, wziął obnażonego trupa na swe plecy i zaniósł go do swéj komnaty. Tu ujrzał, że przypadkiem pomyślnie mu się powiodło: trup był zwłokami młodego mężczyzny, którego choroba nie zeszpeciła, który był takiego jak on wzrostu. Zdjął z siebie suknie, aby w nie przyodziać zmarłego, posadził go przed stolikiem w postaci piszącego, potém zlazł oknem po drabinie na cmentarz, odbił zamek u jednych drzwi z cmentarza na ulicę, i wrócił nazad do swego gabinetu,

gdzie przygotowania były zupełne, a wykonanie ich równie szybkie jak zręczne. Odział się w najstarsze suknie i napełnił złotem szkatułkę. Na wieży kościelnéj wybiła druga, do dnia było jeszcze daleko; usiadł do napisania listu do swojéj żony, do Filipa de Mellevas i do mnie; papiér zroszony był łzami. Z uderzeniem czwartéj godziny wstał, przeszył szpadą piersi zmarłego, podłożył mu pod brodę pistolet tęgo nabity, i wypalił tak, że wystrzał roztrzaskał od dołu do góry twarz, któréj krwawe szczątki rozleciały się po meblach i aż do sufitu; pan D* przekonał się, że twarz, tak pokaléczona, była nie do poznania; rzuciwszy pistolet przed nogi trupa, wyskoczył na cmentarz, dopadł drzwi i zniknął.

Pani D* nie spała; z trwogą słuchała każdego szelestu i stuku, pochodzącego z komnaty, gdzie się mąż jéj zamknął; co chwilę poglądała na zégar i klęła powolność skazówki godzin; dzieci spały oboje koło niéj. W tym wystrzał broni ręcznej rozległ się straszliwie śród ciszy nocnéj; nagle zerwała się, złożyła ręce z błagającym wykrzykiem; nie mogła ani się ruszyć, ani myśléć; z wyciągnionémi ramionami, zamkniętémi oczyma, gębą otwartą, stała jakby w osłupieniu: byłato piérwsza chwila przestrachu; potém, krzycząc przeraźliwie, rzuciła się ku komnacie. Rygiel był zasunięty, drzwi zamknięte na zamek; stukała razem pięścią, kolanem i czołem, wołała męża głosem żałośliwym; lecz przestrach jéj wzrastał milczeniem, w którym się krzyki jéj gubiły, porwała siekierę i tak mocno uderzyła nią o drzwi, że się z trzaskiem rozwarły.

Nieszczęśliwa aż nadto dobrze los swój przeczuła: mężczyzna leżał zwalony przed krzesłem, z twarzą, wystrzałem pistoletu strasznie pokaleczoną. Rzuciła się na niego w rozpaczy, zléwała łzami te massę ciała skrwawionego, która już nic w twarzy nie miała ludzkiego; obejmowała ramionami to ciało, już od 24 godzin zimne; chciała ogrzać ostygłe i strętwiałe jego ręce; szukała bicia serca, od wczoraj już przez życie opuszczonego; była szalona, mówiła do niego, błagała go, czekała odpowiedzi; zdawało się jéj, że czuje bicie serca, lecz, wyczerpawszy skąpe źródło omamienia, zemdlała na trupie, którego z uniesieniem ściskała. Trudno było ją oderwać, gdy ją nieruchomą i złodowaciałą znaleziono; w tym stanie zaniesiono ją do łóżka. Z tego moralnego, równie jak fizycznego otrętwienia na to się tylko ocknęła, aby zapaść w spokojne obłąkanie; obwiniała się o zamordowanie swego męża. Posłano po nas, po Filipa i po mnie, skoro tylko słudzy ochłonęli z przestrachu, i przybyliśmy natychmiast oba razem, każdy z swéj strony, oba równie dotknięci nowiną o tak okropnym wypadku. Listy do nas, któreśmy przy zmarłym znaleźli, źle nam wytłumaczyły przyczynę samobójstwa, które Filip przypisywał zazdrości, a ja ambarasom pieniężnym. Z oglądania psującego się już ciała żadnego nie powzięliśmy podejrzenia, i najmniéjszéj nie mieliśmy wątpliwości, że to był on sam, ile, że służący, pootwiérawszy okna, uchylili wszystko, coby nas mogło było naprowadzić na jakiś ślad oszukaństwa. Urzędnik i lekarz, którzy byli przywołani, zapisali do protokułu śmierci, że pan D* wycelował pistoletem tak dobrze, że nie mógł chybić i ani chwili przeżyć swojéj rany. Wszyscy podpisali to oświadczenie.

Obecność nasza, a osobliwie Filipa, przyniesła pani D* ulgę. Rozpływała się we łzach, widząc nas stojących w milczeniu przy jéj łóżku, i łzy te osłabiały stopniowo przesilenie nerwowe, które ją co chwila porywało; wyciągała do nas ręce, któreśmy z umysłu ściskali; rozmawiała z nami o przyjacielu, którego utraciła; wyrzucała nam, żeśmy nie odkryli nieszczesnego zamysłu naszego przyjaciela; opowiadała nam, jak straszliwy obraz ujrzała otworzywszy komnatę; chciała aby jéj przeczytać list, do niéj napisany: ucałowała go z uszanowaniem i tylko z wielkim żalem mi go oddała. List ten, zlany łzami, krwią zbroczony, przeczytano, i wysłuchano go jak testamentu:

»Anno, moja żono! moja najlepsza przy»jaciółko! muszę cię opuścić;... wszelako nie »przygotowałem się na to bolesne rozłączenie; »nigdym nie myślał, żeby nieprzewidziane »wypadki mogły się targnąć na nasze szczę»ście; spodziéwałem się umiérać z tobą, rów»nie jak długo byłbym żył z tobą; lecz nie »wiedziałem, ile los ma twarzy przeciwnych. »Wczoraj jeszcze szczęśliwy i spokojny na

»łonie méj żony, moich dzieci i moich przy- »jaciół, dziś nędzny i rozpaczający między »szpadą i pistoletem. Bądź zdrowa, moja »Anno! bądź zdrowa na długo, niestety! po- »nieważ chcę się zabić, chcę i muszę się za- »bić: jestem zrujnowany, jestem zhańbiony! »rozumiész ty to... ten majątek, który z ukon- »tentowaniem gromadziłem dla ciebie, dla »naszych dzieci; majątek ten, który wiele »przechodził skromne potrzeby nasze, po- »chłonęły kilka bankructw i jedno rozbicie »okrętu! jesteśmy zrujnowani, mówię ci, i »jutro może nieubłagani wierzyciele przy- »szliby wydrzéć mię z łona mojéj rodziny. »Ach! cóż znaczy utrata wolności po utracie »majątku i sławy!... Umiéraći jakże straszne »jestto słowo, gdzie jest tyle przyczyn do ży- »cia, kiedy myśl śmierci zawsze się od siebie »oddalało! daremnie szukałem drogi mniéj »rozpaczliwéj, aby ujść tego niezbędnego »skutku mojego położenia; wszystkiegom »doświadczał, nim konieczność samobójstwa »przypuściłem. Mellevas i Jacob nie mają »i dwudziestéj części summy, potrzebnéj do »załatwienia moich interesów; zresztą nadto »ich kocham, abym miał ściągnąć rękę do »uszczuplenia dobrego ich bytu. Ludzie, »którym mógłem zrobić przysługę, zapo- »mnieli na to, lub wzięli się do niewdzięcz- »ności, jak do rzemiosła; nie otrzymałbym »ani zwłoki, ani ulgi, ponieważ upadek mój »nadto był nagły, aby mogli dać temu wiarę. »Nié mam więc nadziei, jak tylko w śmierci, »która skończy te udręczenia pieniężne, do »których zniesienia nié miałbym odwagi. »Dla ciebie pozostanie twój posag i to, co »prawo zapewnia naszym dzieciom; resztę »podzielą między siebie moi wierzyciele. — »Anno! wiész, że miłość moja ku tobie była »zawsze stała, i że byłbym życzenia moje na »tym ograniczył, abym cię do starości kochał »i uwielbiał... Przebacz mi piérwsze i osta- »tnie zmartwienie, które ci sprawiam; prze- »bacz, że niosę ofiarę dla honoru moich ko- »chanych dzieci! Jeżeli co z istoty naszéj »pozostaje po śmierci, jeżeli dusza nie jest »urojeniem, wymyślonem dla serc czułych, »jestem pewny, że się tu lub gdzie indziéj »znowu znajdziemy. Nie dowiesz się wcale »o trwodze, udręczeniu i walce z samym »sobą, które musiałem przebywać, aby do »tego okropnego dójść postanowienia; bałem »się, abym nie zwiększył i nie przedłużył two- »jéj boleści, która wszakże jest dla mnie po- »ciechą, ponieważ nie wątpię, że mię kochasz. »A więc: Anno! chociaż to jest bez wątpie- »nia tyraniją, lecz umiérający mają to naj- »wyższe prawo: Żądam, abyś przed upłynie- »niem roku twego wdowieństwa nie poszła »za mąż; żądam nawet, abyś do tego czasu »nie do kogo innego, tylko do mnie należała. »Próba ta nie przechodzi sił twoich... Bądź »zdrowa na długo! żegnam cię, całując cię »sto razy!... Jakżem nieszczęśliwy, nie mógł- »em, umiérając, ani ciebie, ani synów moich »uściskać!... Bądź zdrowa, zacna przyjaciółko! »obyś tak była szczęśliwa, jak zasługujesz! »ostatnie tchnienie moje do ciebie należy!«

List ten, chociaż czytany z ociąganiem się i z układem, jakich nie widać w słowach, na prędce naprzeciw lufy nabitego pistoletu napisanych, sprawił wszakże na czułéj pani D* bardzo żywe wrażenie; tarzała się na łóżku w konwulsyjach. »Tak jest, ślubuję i przysięgam!« powtarzała w obłąkaniu; »mój przyjacielu! mój biedny mężu!... nikogo! nigdy! nawet jego! o! nie!...«

Tymczasem oddano mi list z Bretanii, pod adressą P. D*; rozpieczętowałem go i, przeczytawszy, wziąłem się za głowę, krzycząc: »Ach biedny!« dałem potém list ten, za późno przybyły, Filipowi, który go zgniótł na miazgę, wzdychając, lecz treść onego ukrył przed panią D*, aby do jéj żalów nie przylać nowéj goryczy; serca nasze złączyły się w złorzeczenie złowieszczemu tych listów pisarzowi:

»Mości Panie! mam szczęście donieść Panu, »żem się nadto pospieszył z udręczeniem go »złą nowiną: Wczorajsze doniesienie moje »uważaj za nie byłe i żadne. Okręt ten, na- »leżący do Wćpana, o którym mówiono, że »się rozbił na skałach wyspy Seiyn, doznał »lekkiego tylko uszkodzenia! Ładunek nie »poniósł szwanku, i jutro okręt ten stanie »w naszéj zatoce. Podług obecnych cen spo- »dziéwam się, że towary Jego będą bardzo »drogo sprzedane. Przebacz mi Wćpan, żem »go płonnego nabawił strachu, lecz przyczyną »tego błędu była jedynie moja gorliwość.«

List ten, podpisany przez kupca z Brestu, piorunem mię przeraził, a myśl, że pan D* byłby jeszcze żył, gdyby był kilka tylko

godzin zaczekał, myśl ta bardziéj jeszcze zatruła moję po przyjacielu żałobę; Filip zaś, bardziéj ode mnie exaltowany, chciał już istotnego zabójcę wyzwać na pojedynek; umówiliśmy, się nie powiadać nic pani D*, że bogactwa, które mąż jéj życiem przepłacił, z nim nie zginęły. Z większą coraz stałością znosiła wielkie swoje nieszczęście, a przekonywające namowy Filipa były od moich skuteczniéjsze; to prawda, że głos jego był wdzięczniéjszy, wzrok potężniéjszy, a ręka bardziéj przyjacielska. Anna z wdzięcznością przyjęła go za towarzysza w swojém wdowieństwie.

Samobójstwo pana D* opowiadane było w gazetach w szczegółach kłamliwych i przesadnych. W owym czasie stawiano przed sądem zmarłych o samobójstwo obwinionych, a na tych, którzy byli prawnie o to przekonani, wydawano wyrok pośmiertny, którego najmniejszym skutkiem była haniebna pamięć; często skazywano na szubienicę w obrazie, ponieważ samobójstwo na równi kładziono z morderstwem. Tymczasem za wstawieniem się moich przyjaciół pan D* uszedł pręgierza i szubienicy. Arcybiskup paryzki, któremu szczególną oto podałem prózbę, zniósł zakaz pochowania zmarłego i rozkazał, mimo oporu plebana *St. André des Arcs*, aby pan D* był pogrzebiony na cmentarzu, a tak ciało powróciło w to samo niemal miéjsce, z którego było ukradzione. Ja trudniłem się tym smutnym obrzędem, a pani D* słyszała z swego łóżka głos dzwonów i spiéwy księży, idących za karawanem.

(Dokończenie nastąpi.)

OSTATNI POŻAR W LONDYNIE.

Doniesienia różnych gazet o pożarze w Londynie w wielu względach z sobą się nie zgadzają, co jest rzeczą bardzo naturalną, gdyż były pospiesznie pisane. *Albion* uważa za najdokładniéjsze opisanie dziennika *Times*, z którego wyjmujemy, co do treści, następujące wiadomości o tym strasznym pożarze: »Mieszkańcy Westminsteru i okręgów miasta, na przeciwległym brzegu Tamizy położonych, przerażeni byli raptowym wybuchem jednego z najokropniejszych pożarów, jakiego od lat wielu nie widzieliśmy, a który wszczął się przed godz. 7mą wieczorem z dnia 15go na 16ty października r. b. Mieszkańcy w bliskości przekonali się wkrótce o prawdzie pogłoski, że izby wyższa i niższa, jakoteż domy, do tych gmachów przypierające, płonęły ogniem. Smutna ta wiadomość gruchnęła prędko po mieście, i im więcéj pożar się rozszerzał, tym liczniej na około ognia zgromadzał się lud ze wszystkich końców stolicy. Nigdy może jeszcze nie widziano najobszerniéjszych ulic tak mocno ludźmi zawalonych. Zaledwo pół godziny od wybuchnienia ognia minęło, a już nie było podobna zbliżyć się inaczej do gorejących gmachów, jak tylko do stóp mostu westminsterskiego na Tamizie, od strony Surrey, albo tylko do końca ulicy parlamentowéj po drugiéj stronie, i to li na łodziach, lub za pomocą przewodnika, który, z miejscowością dokładnie obeznany, umiał wimijać się w ciżbie ludu, i ulicami po za opactwem dostać się do ulicy Abingdon. Lecz i to ostatnie przejście wkrótce tak bardzo, jak i inne, ludźmi napełnione było. I nie należy się dziwić, że takie masy ludu przybywały, że rzeka okryta była napełnionemi ludem łodziami, że mosty, stanowiska i dachy domów były widzami natłoczone; byłoto bowiem jednem z najpyszniéjszych lubo najokropniéjszych widowisk, a sam wspaniały widok opactwa, którego piękności architektoniczne nigdy korzystniéj oświecone nie były, ściągał tysiące patrzących. Jakkolwiek wielkie jest nieszczęście, które nas spotkało, wieść jednak przesadziła je mocno. Słychać było ogólnie, że gmachy Westminsteru, a nawet samo opactwo, gorzały w płomieniach. Gdzie i jak ogień wybuchnął, podpada jeszcze wątpliwości. Sądzę jednak, że stało się to w pewnéj części złączonych z izbą wyższą gmachów, i że ztamtąd sam gmach izby wyższéj tak szybko zajął się od ognia, że już przed godziną ósmą cała pierzeja przed portykiem, wstęp tworzącym, aż do rogu, gdzie się łączy z salonami wydziałów izby niższéj, była ogniem ogarniona. Zgubny żywioł równie prędko rozpostarł zniszczenie swoje w staréj S. Szczepana kaplicy, i dzieło spustoszenia jeszcze tu łatwiéj przyszło do skutku, jak w innych gmachach parlamentu; co było rzeczą bardzo naturalną, albowiem na dziedzińcach izby niższéj znajdowało się mnóstwo przeznaczonego do budowli drzewa; przyczyniło się i to także, że z powodu położenia tego gmachu i, niestety, bardzo nizkiego wtedy stanu wody, dwóch tylko sikawek można było z korzyścią używać, któremi nadaremnie tę ważną budowę od zupełnego zniszczenia ochronić chciano. Pożar, szczególnie od Tamizy uważany, nadzwyczajnie się pięknie wydawał. Zdawało się na pierwszy widok, że gmachy Westminsteru żadnym sposobem ocalone być nie mogą. Tuż za niemi wzniósł się ogromny słup ognia, a biały obłok dymu z góry je okrążył, przez który tu i ówdzie tylko, gdy go wiatr rozdzielił, widać było kopułę i wieże Westminsteru.

W równym czasie spadał nieustanny deszcz ogniowy na jego dachy, tak, że się zdawało, iż lada chwila ogniem zapłonie. Nie przebywszy mostu westminsterskiego nie można było rozpoznać dobrze skutków pojedynczych ognia; to tylko dokładnie widziano, że ogień był niezwykłej wielkości, ale o istotném rozgałęzieniu jego nie można było mieć dokładnego wyobrażenia. Most westminsterski, którego balustrady całkiem ludźmi okryte były, przedstawiał właściwy i jedyny w swoim rodzaju obraz; dziwnie bowiem ciemne masy ludu odbijały od białego kamienia, z którego most zbudowany, a który jasno i wyraźnie widoczny był przy świetle księżyca. Zbliżając się ku mostowi widać było przez jego łuki, poniżej ogrodu, należącego do mowcy parlamentu, brzeg rzeki gęsto ludźmi okryty, i wszyscy z natężoną uwagą patrzyli na szerzenie się ognia. Nad nimi wznosiły się czarne czapki gwardyi pieszej, która w ogrodzie dla wstrzymania natłoku ludu rozstawiona była. Bliżej przystąpiwszy, można było, przy blasku ognia, rozpoznać jak najdokładniej, każdą gałąź drzew, rosnących przed domem niższym. Za przebyciem mostu okazało się dopiéro smutne widowisko w całej wielkości swojéj. Zacząwszy od nowych gmachów, gdzie się znajdują biora parlamentu, aż do pomieszkania mowcy, buchały płomienie z każdego okna i wiły się po murach. Pomieszkanie pana Ley, sekretarza izby niższéj, i pomieszkanie mowcy już się były zapadły, i tu zrządził ogień największą klęskę. Wieża pomiędzy témi obu zabudowaniami, i tak zwana Izba Jerozolimska, były zupełnie oświecone. Dach był już w części zapadnięty, ale nie przebił się był jeszcze przez różne piętra domu. W téj wieży, jeżli się nie mylimy, znajdował się księgozbiór izby niższéj. Wieża ta była koło godziny 11téj całkiem z góry aż do dołu napełniona ogniem. Sikawki przestały tam działać, gdzie nic nie można było ocalić, i zwrócono je na domy sąsiednie. Tuż po godzinie 12stej zapadła się z ogromnym trzaskiem wieża biblijoteki, a płomień piął się w górę, jak gdyby nową upatrywał zdobycz; lecz zgasł w jednéj chwili i tylko pozostawił za sobą gęsty słup dymu. Ten, opadłszy na dół, okazał dopiéro, w istotném świetle straszliwe spustoszenia ognia. Opactwo poglądało z posępną dumą przez tlejące kościotrupy murów na zniszczonych sąsiadów swoich. Ile od strony Tamizy widzieć można, ruina obu gmachów parlamentowych, przypiérających do brzegów rzeki, już była zupełna. Płomienie nie rozciągały się za te oba punkty; zdawało się, że się już zmordowały w zniszczeniu. Oba te gmachy w jednéj chwili zajęły się ogniem i już w półgodziny pożarem płonęły, tak, że cała przestrzeń od wstępu do izby niższéj aż do izby wyższej wydawała się jak jedna massa płomieni. Nareszcie dachy i gzymsy uległy sile żywiołu, i gdy po zapadnieniu się téj rozpłomienionéj massy dym uleciał, oko patrzało tylko na czarne zwaliska, tu i owdzie pomieszane z palącémi się jeszcze głowniami.«

Anglija, podług dziennika *Morning-Post*, poniosła przez ten pożar straty w samych budowach więcéj jak na 200,000 funt. sztrl. (2,000,000 w m. k.). *Albion* twierdzi, że w tém nieszczęściu żaden z ludzi nie utracił życia, ale dwanaście osób zostały mniéj lub więcéj uszkodzone.

Następujące podanie o początku pożaru zasługuje przed innémi na wiarę: Do rozmaitych odmian, jakie nie dawno w obu gmachach parlamentu poczyniono, należało także przeniesienie biora sądu skarbowego z pałacu Yard. Rozmaite papiéry, dokumenta i drewienka karbowe — które ostatnie pochodziły jeszcze z czasu Anglo-Saxów, kiedy na karbach rachowano — zniesiono do gmachów izby wyższéj. Ta ogromna moc drewienek rachunkowych, przez wieki nagromadzona, miała być spalona i ludzie, którym to poruczono, by sobie ulżyć roboty, wrzucali je stosami do picca. Ponieważ drewienka te były suche i łatwo podpaleniu podpadające, więc ogień wnet buchnął kominem. W kilku minutach cały komin zalał pożarem, a płomienie, uderzywszy na różne strony, niebawem gmach cały ogarnęły. Wieść o podłożeniu ognia jest zupełnie do prawdy niepodobna.

Oto jest opis obu domów parlamentowych, jakiemi były, nim w nocy z d. 15. paźdz. w gruzy obrócone zostały: Izba lordów była pierwotnie starożytnym gmachem próżb *(Court of Requets)*, w którym panowie dworu przyjmowali prożby poddanych króla jegomości. Dopiéro w czasie połączenia Irlandyi z Wielką Brytaniją gmach ten postać teraźniejszą uzyskał. Sławne dywany, wyobrażające klęskę floty hiszpańskiéj i ozdobione portretami oficerów, dowodzących wtedy flotą angielską, zdobiły salon gmachu tego i stały się pastwą płomieni. Bogaty tron, także ogniem zniszczony, zrobiony był pod czas wstąpienia na tron Jérzego IV. Pomiędzy gmachami lordów i izby gminnéj znajdowała się tak zwana Malowana Izba, gdzie członkowie izb obu miewali swoje obrady. Salon bywał sypialnią króla Edwarda Wyznawcy. Izba niższa była pierwotnie kaplicą, zbudowaną przez króla Szczepana i Ś. Szczepanowi poświęcona, dla tego też w nowszych czasach często także kaplicą S. Szczepana zwana była. W r. 1347 odnowił tę kaplicę Edward III. i przemienił w kaplicę kolegijalną. Edward IV. odstąpił gmach ten na posiedzenia deputowanych gmin, i od tego czasu został on Izbą Niższą. Podczas zjednoczenia z Irlandyją gmach ten był znacznie rozszérzony, a to przez zniesienie wszystkich wewnętrznych murów pobocznych. Po obu stronach i po bokach było umieszczonych pięć rzędów ławek dla członków parlamentu. Po prawéj stronie mowcy znajdowały się tak zwane ławki izby skarbowéj, na których siedzieli piérwsi członkowie rządu, po stronie zaś przeciwległéj siadali główni członkowie opozycyi. Między gmachami izb i Tamizą znajdował się ogród mowcy; pałace parlamentu bowiem stały, jak wiadomo, na samych brzegach Tamizy, w bliskości parku St. James. Księgozbiory, szczególnie księgozbiór lordów, były niezmiernie bogate; nie ograniczały się bowiem na samo prawodawstwo, lecz obejmowały także ogólną literaturę. Podczas posiedzeń widywano zawsze wielu parów w salach biblijoteki. Rzecz naturalna, że zginęło tu mnóstwo dokumentów, których straty nie będzie można żadnym już sposobem wynagrodzić. Dawniejsze jednak uchwały parlamentowe za stracone uważać nie należy, albowiem drukowano nie dawno niezmiernie liczny zbiór protokułów. Jak duży jest zbior ten, połączony z innemi najważniéjszémi parlamentowémi i sądowniczémi dokumentami Wielkiéj Brytanii, okazuje się ztąd, że darowany nie dawno od izby lordów francuzkiéj izbie parów wynosi blizko sześćset tomów *in folio*. (Znaczną część tych dokumentów dostały także nie dawno uniwersytety w Monichowie i Tybindze.)

Osada tatarska w Galicyi. Do rozlicznych osad Niemców, Turków i Szwedów, jakie mamy w kraju naszym, należy także osada tatarska w Zakopanem, wsi obwodu sądeckiego. Są to rozbitki Tatarów, którzy za Bolesława Wstydliwego napadali zamek Pieniny, gdzie się schroniła małżonka króla tego, Kunegunda, a potém tułali się w górach karpackich. Czas zmienił ich mowę i religiję, lecz rysy śniadéj ich twarzy, przesądy i obyczaje niektóre dają poznać po dziś dzień jeszcze właściwe ich pokolenie.

Z Wiednia. W roku bieżącym otrzymało stopień doktora w uniwersytecie wiedeńskim z całego Państwa Austryjackiego (wyjąwszy Włochy austryj.), medycyny 68; chirurgii 10 uczniów. Między tymi zostało z Galicyi doktorami medycyny 5, a mianowicie: Hensel Leon, rodem ze Lwowa; Koch Wilhelm Jan z Dembicy; Macher Jakób z Białéj; Piątkowski Franciszek ze Stanisławowa, i Rosenthal Dawid z Tarnogrodu.

Z Pragi. Pan Wacław Hanka wydał w Pradze, już z podpisem r. 1835: *Krakowiaki aneb pisnie narodni polske s przipojenym puwodnim textem*, które wytłumaczył ze

zbioru »Pieśni polskich i ruskich ludu galicyjskiego« Wacława z Oleska, wydanych we Lwowie r. 1833. Jest w tym przekładzie 326 krakowiaków z objaśnieniami niektórych wyrazów. Wydanie drobne, ale piękne, textu stron 143; nuty do grania nie wyszły jeszcze. — Zeszyt trzeci Czasopisma muzeum czeskiego z r. b. zawiéra następujące artykuły; 1) Apologija czyli obrona P. Karola Starszego z Zerotyna, do P. Jerzego z Hodzic r. 1606, odpis z biskupiego litomierzyckiego rękopisma. 2) Oblężenie Malty przez Turków r. 1565, przez Pawła Skałę ze Zhorza. Z rękopisu biblijotéki duchcowskiéj. 3) Czeskie prosto-narodne obyczaje i pieśni, przez Jarosława Langera (ciąg dalszy). 4) Słowo o rymie, przez Budzisława Małego. 5) O wielkim przechodzie narodów z Azyi do Europy; według J. Klaprota przez Fr. Palackiego. 6) Podpis 452 imion szlachty czeskiéj i morawskiéj r. 1415, przez Fr. Palackiego. 7) Zbiór listów historycznych J. Schöna (ciąg dalszy). 8) Sprawy literackie: *a)* Zdanie J. P. Szafarzyka o najstarszym psałterzu polskim, wydanym w Wiedniu przez St. br. Dunina-Borkowskiego. *b)* Słownik czesko-niemiecki Józefa Jungmana. 9) Zdanie sprawy o czeskiém Muzeum z lipca, sierpnia i września.

Literatura teologiczna polska pomnożona została zeszytem pierwszym: »Mów pogrzebowych j. ks. Ludwika Trynkowskiego« (Wilno r. 1834), i »Nowemi kazaniami niedzielnémi jeg. ks. Kajetana Gawińskiego« (Wrocław, Warszawa i Wilno r. 1834).

Dwie nowe księgarnie otworzono w Warszawie, jednę Glücksberga, drugą F. S. Dmochowskiego. Ten ostatni będzie miał teraz otwarte pole do swoich przedsięwzięć literackich.

Pewien szlachcic polski złapał przeszłego roku na swojéj łące bociana, i puścił go, założywszy mu na szyję lekką żelazną obróżkę z napisem: *Haec ciconia ex Polonia* (ten bocian z Polski). Roku bieżącego powrócił ten bocian, i gdy go powtórnie złapano, zdziwiony szlachcic ujrzał pod żelazną obróżką drugą z cienkiego złota, na któréj nawzajem te wyrazy napisane były: *India cum donis remittit ciconiam Polonis.* (Indyja z darami odsyła Polszcze bociana). Gdy sproszeni od szlachcica sąsiedzi odczytali to dziwne poselstwo, uskrzydlonego gońca puszczono znowu na wolność.

Zbiór narodowych pieśni serbskich, zebranych przez Wuka Stefanowicza, wytłumaczyła na język francuzki pani Voïart i wydała w dwóch tomach w Paryżu, pod tytułem: *Chants populaires des Serviens.*

Drogie zęby. Karol Robert d'Anjou, król węgierski, ojciec Ludwika, węgierskiego i polskiego króla, wybił Szczepanowi Pazzmany przy turnieju na zamku w Wyszegrodzie trzy zęby i darował mu za nie trzy włości: Samogiją, Posę i Som.

Odciąwszy gałązkę z krzaczka rośliny kwitnącéj i trzymając ją jednę lub dwie godziny w wodzie płynnéj, ażeby rozmiękła, natenczas rozpłynie się tkanka, powlekająca korę, i pączki rozmiękną. Wtedy weźmy tę gałązkę do ciepłego pokoju, włóżmy w naczynie, napełnione wodą, i wsypmy doń wapna niegaszonego, które jednak po dwunastu godzinach wyjąć należy. Potém wlać potrzeba cokolwiek witryjolu do wody, ażeby gniciu zapobiedz. Po niejakim czasie rozwiną się kwiaty, a nawet liście nowe. Można przyspieszyć wegetacyją dodaniem więcéj wapna, lecz można także wcale wapna nie dawać, a wtedy liście rozwiną się prędzéj od kwiatu. Tym sposobem w zimie nawet można mieć kwitnące rośliny.

Wystawienie na teatrze w Wersalu dramatu Chateaubrianda *Moïse ou le mont Sinai,* zrobiło w Paryżu wielkie wrażenie na uczonym i umniczym świecie. Jeden z dzienników paryzkich umieścił na kilka dni przed wystawą korespondencyją sławnego autora z dyrektorem teatru, w któréj piérwszy sprzeciwiał się stanowczo wystawieniu sztuki swojéj i zapowiadał jéj niepomyślne przyjęcie. Przeciwnie jednak się stało, sztuka bowiem niezmiernie się podobała, do czego wszakże wiele przyczyniło się liczne zgromadzenie wielkiego świata i znakomite imię autora.

Dziwny przypadek zdarzył się we Francyi w domu poprawy w St. Benno. Pewien były oficér, brat jednego z najznakomitszych żyjących literatów francuzkich, zamknięty został na sześć miesięcy powtórnie do domu poprawy, a to na własne żądanie swoje po kilkakrotnych uprzednio popełnionych wykroczeniach, za które już był piérwej osadzony w więzieniu. Podczas rozpraw sądowych wyraził sam życzenie, ażeby zamknięciem go w więzieniu przeszkodzono mu w dalszéj rozpuście, gdyż kobiety i wino nie dają mu przyjść do siebie i poprawić się. Jakiś niczém niepohamowany pociąg powoduje go ciągle do głupstw nowych, zaledwo wysiedzi jedno- lub dwumiesięczną karę. Prosił zatém, ażeby go tą razą na dłużéj zamknięto, iżby, ile możności, mógł się poprawić, lub ażeby przynajmniéj nie mógł źle działać. Zrobiono zadosyć jego prozbie i, siedząc w więzieniu, napisał zbiór poezyi, więcéj jak z 2,000 wiérszy złożony, pod tytułem: *Souvenirs et délassemens d'un prisonnier, ex-officier de la vieille armée.* Mówią, że poezyje te mają być tak dobre, iżby się ich najlepszy poeta nie powstydził. Dziennik, z którego tę wiadomość wyjmujemy, nie wymienił nam jednak nazwiska tego poety.

Jeden z handlujących winem powiesił się w Paryżu przed kilką tygodniami. Gdy trupa oderznięto, przypomniał sobie pewien biedak, znajdujący się pomiędzy przypatrującymi się, że słyszał, iż postronek powieszonego wywiéra wpływ cudowny na żyjących. W zamieszaniu więc ukradł ów postronek. Odszedł z postronkiem w kieszeni, ale ten nie dał mu obiadu, a była już piąta po południu. Głodny zatem wpada na myśl następującą: Opiéra się o mur, postronek wraz z nożykiem wyjmuje z kieszeni i zaczyna wołać donośnym głosem: »Kto chce kupić postronek wisielca, którego dzisiaj rano znaleziono!« Mnóstwo zbiegło się kupujących, każdy chciał mieć przynoszący szczęście postronek, i nie minęło godziny, a sprzedał go po kawałku. Uradowany przedawca, że mu się tak dobrze powiodło, wpada na nowy przemysł. Kupuje drugi postronek, staje na inném miejscu i znowu sprzedaje swój towar. Nowy nacisk do kupna i wieczorem miał nasz przemyślny człowiek z postronków swoich 40 frank. czystego zarobku. Stało się to w Montmatre, trzydzieści kroków od Paryża, stolicy cywilizacyi, w sierpniu r. 1834, w obecności i pod okiem władz rządowych.

Naród Kawarawadoków, należący do piérwszych pokoleń Indyj, twierdzi, że od osła pochodzi. Członkowie zatém pokolenia tego z osłami, jak z braćmi się obchodzą, bronią ich wszędzie i tych przed sąd powołują, którzy za wiele ładują na osła, biją go, lub źle traktują. Podczas deszczu dają osłu schronienie u siebie, lecz pana jego nie przyjmą, jeżli nie jest dobrego urodzenia.

Jakim sposobem drewniane parkany można od skradzenia ochronić. Parkany i ławki drewniane zwykle po miejscach publicznych kradzione bywają od ludzi, którzy ich na opał używają. Można temu zapobiedz przez namoczenie drzewa w rozcieku witryjolu-żelaza, poczem dopiero pomalować je należy, a takie drzewo nie będzie się dobrze paliło. Można je także posmarować spalenizną tchnącą źwierzęcą tłustością. Nie miły wynikający ztąd wyziew mało czuć się da na sucho, gdy drzewo wsiąknie w siebie tłustość, a potem farbą powleczone zostanie. Lecz drzewo takie, spalone przez złodzieja, wyda tak nieprzyjemny odor, że złodziéj pożałuje kradzieży, a zresztą i sąsiedzi poczną zaraz sprawcę złego czynu.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.